WTOREK

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

NR 57 16 MAJA 1978 R CENA 1.50 ZŁ

BŁYSKAWICZNY KONKURS PIŁKARSKI
MUNDIAL'78

Oceń szanse szesnastu zespołów – finalistów XI Mistrzostw Świata w piłce nożnej. Wytypuj mistrza, wicemistrza i zespoły, które zajmą trzecie i czwarte miejsce, i wpisz do kuponu (znajdziesz go na str. 4).

WYPEŁNIONY KUPON WYTNIJ I PRZEŚLIJ DO DNIA 31 MAJA 1978 ROKU (decyduje data stempla pocztowego) NA ADRES REDAKCJI „ŚWIATA MŁODYCH", UL. MOKOTOWSKA 24, 00-561 WARSZAWA. Kupony z trafnie wytypowanymi zespołami wezmą udział w losowaniu atrakcyjnych książek o piłkarstwie i najlepszych piłkarzach oraz 10 albumów wydanych przez Krajową Agencję Wydawniczą z okazji argentyńskich mistrzostw.

Na zdjęciu nasi piłkarze w meczu z drużyną z CSRS. Już za dwa tygodnie będziemy oglądać pierwszy występ biało-czerwonych w Buenos Aires, w meczu inauguracyjnym XI Mistrzostw Świata.

Fot. J. Łopuszyński

Plebiscyt Zastępowych „NAJLEPSI Z NAJLEPSZYCH"

DZISIAJ KOŃCZYMY GŁOSOWANIE!

Dzisiaj mija ostateczny termin nadsyłania głosów na Plebiscyt Zastępowych „Najlepsi z Najlepszych". W numerze 54 „Świata Młodych" z dnia 6 maja br. przedstawiliśmy Wam anonimowe sylwetki dziesięciu najlepszych zastępowych, wybranych w drodze licznych eliminacji. Do Was należy decyzja, kto zdobędzie złoty medal. Zasady głosowania podane zostały w tym samym numerze. Tak więc jeszcze dziś możecie wysłać swoją propozycję. O ważności głosów decyduje data stempla pocztowego. Czekamy na Wasze listy!

Z WIZYTĄ W REDAKCJI „TRYBUNY LUDU"

Rozstrzygnięty został, zorganizowany w czasie ubiegłorocznego Święta „Trybuny Ludu", konkurs „Każdy może zostać dziennikarzem". Laureaci konkursu z całej Polski spotykali się z dziennikarzami „TL", dyskutowali o problemach gospodarczych i politycznych kraju i świata. A potem sami próbowali swoich sił pisząc artykuły na podstawie obserwacji swojego środowiska, wizyt w zakładach pracy, domach kultury itp.

Autorzy wyróżnionych 16 prac zaproszeni zostali na spotkanie z zespołem redakcyjnym, podczas którego wręczono im dyplomy i nagrody. Mieli okazję obejrzeć całą redakcję, zobaczyć jak powstaje gazeta. **(wg)**

Fot. **Waldemar Giers**
Członek Ligi Reporterów „ŚM" i laureat konkursu „TL"

BYTOM (HSI). Dwieście pięćdziesiąt harcerek i harcerzy z 23 szczepów HSPS Bytomskiego Hufca ZHP zebrało się niedawno w Zespole Szkół Mechanicznych,

Forum 10 tysięcy

aby – na wzór II Forum HSPS – podsumować swą blisko dwuletnią działalność.

Jest ich w Bytomiu blisko 10 tysięcy i stanowią ponad 80 procent młodzieży ze szkół ponadpodstawowych. Jednak nie ilość jest najważniejsza, lecz bogaty dorobek bytomskiego HSPS. To tu zrodził się trzy lata temu ruch indywidualnego i zespołowego współzawodnictwa w nauce. Od tej pory już 46 drużyn szczyci się tytułem „Zespołu Kopernikańskiego", a 250 młodych ludzi uzyskało odznakę „Primi inter pares". W sześciu szczepach działają Młodzieżowe Grupy Kandydackie, a z harcerskiej rekomendacji w szeregi PZPR wstąpiło czterdziestu członków HSPS. W ubiegłym roku przepracowali 158 tys. godzin przy porządkowaniu ulic, placów zabaw, otoczeniu szkół i zazielenianiu miasta. Mają też osiągnięcia we współzawodnictwie warsztatowym „Młodzi kooperanci" i w kampanii „Z krzyżem harcerskim na kombinezonie".

Tomasz Woźniakowski

FESTIWAL CORAZ BLIŻEJ

GDAŃSK (HSI). Zuchy, harcerze i instruktorzy Hufca Starogard Gdański wysłali na konto festiwalowe „Hawana 78" łącznie 6.840 zł. Taką sumę zarobili przy zbieraniu surowców wtórnych na terenie miasta. Harcerze drużyn HSPS pracowali w dniu Czynu Festiwalowego na rzecz swojego miasta, porządkując Park Miejski.

Mirosław Nowak

MINIATURA OŁTARZA WITA STWOSZA

BIELSKO-BIAŁA (PAP). W Grzechyni koło Makowa Podhalańskiego mieszka ludowy rzeźbiarz, Stanisław Białos. Jego prace znane są w kraju od wielu już lat, zdobią również sklepy „Cepelii" w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie oraz salon kapitański na „Stefanie Batorym". Jedną z najciekawszych rzeźb artysty jest dziesięciokrotnie pomniejszona kopia ołtarza Wita Stwosza z Kościoła Mariackiego w Krakowie. To iście benedyktyńskie przedsięwzięcie zajęło Stanisławowi Białosowi całe trzy lata.

Z „Panem Tadeuszem" prawie... na ty

OPOLE (HSI). W Szkole Podstawowej nr 12 w Opolu odbył się konkurs: „Z „Panem Tadeuszem" prawie... na ty", w którym wzięli udział uczniowie VII klas. Na turniej składały się m. in. recytacje, inscenizacje fragmentów „Pana Tadeusza", przeprowadzenie wywiadu z przypadkowo napotkanymi ludźmi, oczywiście, na temat tej epopei i konkurs plastyczny, polegający na przekładzie fragmentu „Pana Tadeusza" na język farby i pędzla. Po podliczeniu wszystkich punktów okazało się, że zwyciężyła klasa VIIc przed VIIa i VIIb.

(ap)

Na politycznej scenie

Walka o niepodległość Namibii

Na przełomie kwietnia i maja br. odbyła się specjalna sesja Zgromadzenia Ogólnego ONZ poświęcona problemom Namibii. Kraj ten, jak wiadomo, bezprawnie okupowany jest przez rasistowski rząd RPA. Jak do tej pory rezolucje ONZ z poprzednich lat, nawołujące RPA do przekazania władzy w ręce czarnej większości – nie odniosły skutku. I tym razem, olbrzymią większością głosów, uchwalono Deklarację i Plan Akcji – dokumenty potępiające stanowisko rządu w Pretorii i domagające się przyznania Namibii niepodległości.

Podczas głosowania nad Deklaracją i Planem Akcji 21 krajów zachodnich oraz Gwatemala wstrzymały się od publicznego wyrażenia swego zdania. Na ogół są to kraje, które mają swoje interesy w Namibii i współpracują z RPA w eksploatacji bogactw tego wielkiego terytorium. Realizacja postanowień ONZ pozbawiłaby je zysków, stąd też państwa te oficjalnie nie występują przeciw przyznaniu Namibii niepodległości, ale robią wszystko aby ten moment oddalić lub stworzyć taki rząd, który będzie akceptował dotychczasowy stan w Namibii.

Celowi temu służyć mają wysiłki tzw. grupy pięciu, czyli USA, W. Brytanii, Francji, RFN i Kanady. Piątka ta przedstawiła swój plan przekazania władzy w Namibii w ręce Afrykanów. Ma to nastąpić w wyniku wyborów powszechnych, przeprowadzonych pod nadzorem ONZ. Plan wydaje się rozsądny, a sposób jego realizacji – demokratyczny. Ale to tylko pozory. Nawiasem mówiąc RPA zgadza się z tą koncepcją, a to już daje dużo do myślenia.

Wielu delegatów w czasie debaty w Zgromadzeniu Ogólnym potępiło „plan pięciu", jako mający na celu przedłużenie dominacji RPA nad Namibią. Również SWAPO – postępowa organizacja, walcząca o wyzwolenie Namibii i mająca swe przedstawicielstwo przy ONZ – ma wobec planu wiele zastrzeżań i podejrzeń. SWAPO np. domaga się, aby w okresie wyborów RPA wycofała z Namibii większość swych wojsk. SWAPO żąda również, aby przedstawiciel ONZ wytypowany do kierowania kilkutysięczną grupą cywilnych ekspertów i oddziałów ONZ, w czasie wyborów miał władzę nadrzędną nad administratorem generalnym RPA w Namibii. Gdyby RPA miała uczciwe intencje, zgodziłaby się z żądaniami SWAPO. Tak jednak nie jest. Odpowiedzią na postulaty SWAPO był atak lotniczo-desantowy rasistów na angolańskie miasto Cassinga i położony w pobliżu obóz uchodźców z Namibii, którzy uciekli ze swego kraju przed represjami. Jeszcze raz rasiści z RPA pokazali światu swoje prawdziwe oblicze. Nie wydaje się jednak, aby w ten sposób mogli oni długo jeszcze przedłużać okupację tego wielkiego kraju o powierzchni 824 tys. km kw. (b)

ATOM POD POKŁADEM

Od 1955 roku – kiedy pojawił się na morzach pierwszy okręt wojenny z napędem jądrowym **„Nautilus"**, rozwijający pod wodą szybkość 40–50 km/godz. atomistyka morska znacznie się rozwinęła. Innymi jednak prawami rządzi się atom pod pokładem okrętów wojennych, a innymi w przypadku statków cywilnych. Koszty budowy atomowca cywilnego, wielkość jego załogi i ostateczne wyniki ekonomiczne rejsów, odgrywają tu rolę podstawową. Kryteriom takim podlegał zbudowany w roku 1959 radziecki lodołamacz **„Lenin"**, amerykański statek towarowo-pasażerski **„Savannah"** oddany do eksploatacji w roku 1962, zachodnioniemiecki masowiec **„Otto Hahn"**, który wyszedł po raz pierwszy w morze w roku 1968 oraz japoński drobnicowiec **„Mutsu"**, który usiłowano wprowadzić do eksploatacji w roku 1975.

Nie wszystkie te atomowce zdały jednak praktyczny egzamin. Zbudowany kosztem 100 mln dolarów **„Savannah"** okazał się wysoce nierentowny. Nie pomogły państwowe subsydia i likwidacja luksusowych kabin pasażerskich. Po kilku latach eksploatacji, w czasie których statek przebył 330 tys. mil morskich i zużył 50 kg wzbogaconego uranu – armator zdecydował się odstawić go do rezerwy. W roku 1970 wymontowano zeń reaktor i w macierzystym porcie uwiązano na przysłowiowym sznurku. Podobny los spotkał japoński atomowiec **„Mutsu"**, który już w pierwszym rejsie miał radioaktywny wyciek, aż tysiąckrotnie przekraczający dopuszczalną normę. Po długotrwałych perypetiach, w czasie których opuściła go znaczna część załogi, a porty japońskie wytrwale broniły mu schronienia – dotarł wreszcie do macierzystego Mutsu, gdzie opuszczony stoi do dnia dzisiejszego. W eksploatacji znajduje się natomiast **„Otto Hahn"**, który ma już za sobą ponad 500 tys. mil morskich, ale i ten atomowiec pływający pod banderą RFN, jest wysoce nierentowny.

Za „Leninem" – „Arktika" i „Sybir"

Jedynym autentycznym sukcesem technicznym i eksploatacyjnym cywilnych statków atomowych jest więc długa służba radzieckiego lodołamacza **„Lenin"**, torującego wśród lodów północy drogę frachtowcom, obsługującym syberyjskie porty ZSRR. Największe dotąd lodołamacze północnej drogi morskiej **„Moskwa"** i **„Leningrad"**, zabierając po 6000 ton paliwa, już po 40–50 dniach pracy ponownie zawijać musiały do portu. **„Lenin"** natomiast zużywa 45 gramów paliwa na dobę, zaś jednorazowy ładunek wzbogaconego uranu pozwala mu całe miesiące nie zgłaszać się do żadnego portu. W razie potrzeby może on trzykrotnie nawet opłynąć non stop kulę ziemską, a w przeciwieństwie do lodołamaczy motorowych nie jest narażony na ewentualność zamarznięcia wśród lodów i w związku z tym długotrwałego dryfu po Oceanie Lodowatym. Trzy reaktory atomowe **„Lenina"** mogą ogrzać ogromne ilości wody, które są w stanie zapobiec zamarzaniu statku, nawet w czasie największych mrozów.

W oparciu o doświadczenia **„Lenina"** Związek Radziecki postanowił rozwinąć swoją atomową flotę lodołamaczy. W lutym 1976 roku wśród lodów północnej drogi morskiej rozpoczął więc służbę nowy atomowiec **„Arktika"**. Zbudowany w Leningradzie jest znacznie większy od swego poprzednika. Zainstalowano też na nim silniki atomowe większej mocy (75 000 KM), które poruszają trzy ogromne śruby napędowe o wadze 50 ton i średnicy 6 metrów każda. Te walory umożliwiły dotarcie **„Arktiki"** 17 sierpnia ub.r. do Bieguna Północnego. Niedługo potem do eksploatacji wszedł siostrzany statek **„Arktiki"** – **„Sybir"**. W ten sposób już trzy atomowce pracują wśród lodów północy.

Sprawa główna – koszt reaktora

Mimo nie najlepszych doświadczeń z eksploatacją atomowców, wiele państw takie statki zamierza budować i eksploatować. We Włoszech ma to być statek oceanograficzny **„Enrico Fermi"**, we Francji zbiornikowiec o nośności 650 tys. ton, w W. Brytanii kontenerowiec, w ludowych Chinach masowiec, w Holandii... itp. Budowę atomowej bazy wielorybniczej i podwodnych statków handlowych oraz naukowo-badawczych planuje się w ZSRR. Cały szereg siłowni atomowych do zastosowania na różnych statkach służby cywilnej do roku 1982 przygotowują USA.

Jednocześnie wobec kilkakrotnie wyższych kosztów budowy atomowca czyni się intensywne wysiłki, aby je obniżyć. Dotyczy to głównie siłowni jądrowych, do budowy których używa się tańszych materiałów konstrukcyjnych i paliwa jądrowego o niskim wzbogaceniu. Wobec stałego podnoszenia cen ropy naftowej tym bardziej zwiększa się zainteresowanie armatorów zastosowaniem energii jądrowej w żegludze.

Zdaniem najbardziej nawet pesymistycznie nastrojonych ekspertów atomowych i fachowców, jeszcze przed rokiem 2000, po morzach i oceanach naszego globu pływać będzie obok pokaźnej już flotylii atomowców wojennych wiele różnego rodzaju statków handlowych z napędem jądrowym.

Specjaliści przewidują, że udział napędu jądrowego w światowej flocie towarowej wzrośnie do 2 proc. w 1985 roku, 4 proc. w 1990 roku, 6 proc. w 1995 roku i 8 proc. w roku 2000. Oznaczać to może flotę składającą się z 8000 statków...

Polski nuclear ship

Czy będą wśród nich jednostki atomowe, pływające pod biało-czerwoną banderą? Tak. Odpowiednie studia i wstępne prace nad zastosowaniem napędu jądrowego w polskich statkach są już prowadzone. Zajmują się tym problemem zarówno pracownicy naukowi Politechniki Gdańskiej, jak i Politechniki Szczecińskiej, konstruktorzy z biur projektowych naszych stoczni i Zakładów H. Cegielskiego w Poznaniu. Niestety, jak dotąd, wysiłki w tej dziedzinie są rozproszone.

Jeszcze w roku 1968 prof. dr inż. Jerzy Doerffer potwierdził opracowanie przez polskich konstruktorów wstępnego projektu zbiornikowca o nośności 35 000 DWT o napędzie jądrowym. Przed kilku laty zaproponowano w Centralnym Ośrodku Konstrukcyjno-Badawczym Przemysłu Okrętowego zastosowanie napędu jądrowego na członowcach – statkach składających się z członów towarowych, sprzęganych ze sobą na poczekaniu za pomocą odpowiednich łączy. Zdaniem naszych fachowców część napędowa członowca, znajdująca się w ciągłej eksploatacji, ma największe szanse, by zastosować w niej napęd nuklearny.

Innym razem na sesji okrętowców w Gdańsku przedstawiono oryginalną koncepcję sztucznej wyspy oceanicznej, wyposażonej w siłownię nuklearną. Wyspa ta, pomyślana jako olbrzymia, stacjonarna baza dla polskiego rybołówstwa oceanicznego, przedstawiałaby sobą zespół trzykadłubowy w kształcie litery „Y", o nośności 36 000 ton. W jej centralnej części miała być zlokalizowana siłownia atomowa, a w ramionach zakłady przetwórcze. Ramiona te tworzyć miały zarazem sztuczny port dla statków łowczych.

Bez względu jednak na to, który z tych projektów zostanie zrealizowany (być może pilniej zbudować trzeba będzie inne typy atomowych statków), pamiętać trzeba, że budowa samego kadłuba statku jądrowego odbiega jedynie nieznacznie od budowy kadłuba statku konwencjonalnego. Trudniejszym problemem będzie natomiast budowa własnej siłowni jądrowej lub jej import, ewentualnie uzyskanie licencji na produkcję tych siłowni w Polsce.

Jedno nie ulega wątpliwości: wprowadzenie napędu jądrowego na statki budowane w naszych stoczniach wydaje się być życiową koniecznością.

HENRYK MĄKA (Intepress)

Bo w życiu jest tak...

Najtrudniej jest pisać o kimś bardzo bliskim, bo przecież ten ktoś jest bliski piszącemu, a nie zawsze jest takim dla czytelnika. Dlatego właśnie ilekroć mam pisać o Jugosławii, budzi się we mnie wątpliwość, czy potrafię przekazać o tym kraju to, co najważniejsze, a czego być może ja już nie dostrzegam. Nie dostrzegam, bo słowo Jugosławia przestało dla mnie znaczyć – kraj, a znaczy – ludzie. Nie bezimienni, a konkretni z imionami, nazwiskami, osobistymi kłopotami i sukcesami. Kiedy myślę – Jugosławia, widzę znajomych i bliskich... Milana, Vlado, Gordanę, Anicę i wielu, wielu innych. A wśród nich i tych, którzy mieszkają w Polsce – w Bolesławcu i okolicach, dawnych mieszkańców Jugosławii, partyzantów ludowej partyzantki Tito, którzy po wojnie wrócili do kraju swych przodków. Ale zanim wrócili – postawili warunek, że muszą osiedlić się w górach. Bo miłość do rodzinnego kraju szła u nich w parze z miłością do górskiego krajobrazu ich drugiej ojczyzny – Jugosławii. I wybrali Dolny Śląsk, gdzie drogi biegną pod górę, z góry, ale nigdy po równinie.

Czas teraz wyjaśnić jak to się stało, że właśnie Jugosławia jest tak bliskim mi krajem. Zaczęło się to przed laty od kilkutygodniowego pobytu w miejscowości Gruž koło Dubrownika nad Adriatykiem. Wtedy właśnie, starając się jak najwięcej dowiedzieć o Jugosławii, ale nie tej z turystycznych przewodników, a tej zwykłej, codziennej, nawiązałem wiele znajomości. Z tych spotkań, rozmów wyciągnąłem i taki między innymi wniosek, że Polska, że my Polacy jesteśmy po prostu lubiani przez Jugosłowian. Konkretne potwierdzenie tego faktu nastąpiło już później, gdy byłem wraz z delegacją instruktorów ZHP gościem Związku Zwiadowców Jugosławii (Savez Izvidaća Jugoslavije) – jednej z jugosłowiańskich organizacji młodzieżowych. Wtedy to właśnie przez ponad miesiąc wspólnych podróży po kraju, od Alp Julijskich w Słowenii po Belgrad i wybrzeża Adriatyku, przebywając ciągle z coraz bliższymi mi Jugosłowianami, zacząłem na ten kraj patrzeć ich oczyma, zapominając z wolna o tym, że jestem obcokrajowcem. Na V Zlocie SIJ w Bledzie, spotkała mnie ogromna przyjemność i zaszczyt: zostałem honorowym członkiem oddziału tej organizacji im. Milana Beloukovica w Šabacu (Serbia). Do legitymacji, którą mi wręczono czyli do „Članska Karta" wpisano: „Počasni član" – honorowy członek. Od tej chwili, poczułem się trochę Jugosłowianinem.

Wczytując się dokładnie w wypełnione rubryki legitymacji, zrozumiałem jednocześnie jak skomplikowany jest ten kraj. Otóż wypełniając je – Vela, komendant oddziału, dokonywał wpisów w dwóch jednocześnie alfabetach. W jednym słowie były litery pisane cyrylicą i latynicą – czyli tak jak pisze się u nas. A legitymację podpisali: sekretarz Milogčewić i komendant Morić. Z tym, że pierwszy zrobił to cyrylicą, a drugi latynicą. I w tym jest cała Jugosławia, najbardziej skomplikowany kraj w Europie. Kraj, w którym są dwa alfabety, trzy główne religie – prawosławna, katolicka i muzułmańska, tyleż oficjalnych języków serbo-chorwacki, słoweński (najbliższy polskiemu ze wszystkich słowiańskich) i macedoński. Kraj zamieszkały przez aż 5 narodów i około tuzina mniejszości narodowych.

Napisałem, że w Jugosławii nas lubią. A dlaczego? Bo losy nasze były podobne do ich losów. Walki z najeźdźcami, okupacje i podobne uparte dążenie do niezawisłości, do wolności. Powstania tam i u nas, często beznadziejne, ale umacniające patriotyzm, wolę uwolnienia się spod obcego panowania. Pod wpływem Mazurka Dąbrowskiego powstał hymn chorwacki „Jeszcze Chorwacja nie zginęła", do dziś jest on hymnem Jugosławii. Później II wojna światowa i walka z jednym wrogiem. I wspólna droga – socjalistyczna – po dziś dzień. I ścisła współpraca gospodarcza, potwierdzająca faktami tradycyjne więzy przyjaźni. Bo w życiu jest tak: słowa o przyjaźni, o wzajemnej sympatii wymagają potwierdzenia faktami. Tak właśnie jest między nami i naszymi południowymi braćmi znad Adriatyku.

JERZY KOWALKOWSKI

Nie budowali jeszcze samolotu

LOSY PEWNEJ INTERWENCJI – CZYLI „ZŁO DOSKONAŁE"

Kiedy rozmawiałam z dyrektorem szkoły, zadzwonił telefon.

– Dwa przystanki dla miasta? Czy wy trochę nie przesadzacie? Nasza szkoła nie jest aż tak bogata... To dobrze, że wiecie, pogadamy później.

Po tej krótkiej przerwie znowu powróciliśmy do rozmowy, a raczej do wertowania papierów dotyczących kilku dziewcząt ze szkoły zawodowej „przyuczanych" (bo tak się to fachowo nazywa) do pracy w zawodzie kucharza. No, ale może wrócimy do początku.

Do Biłgoraja ściągnął mnie alarmujący list uczennic szkoły, błagających o pomoc. Dziewczyny skarżyły się w nim na nadmiar godzin pracy, niskie wynagrodzenie, brak ferii. Nie można było tak poważnych zarzutów zlekceważyć. Pierwsze kroki po przyjeździe skierowałam do internatu. I tu zaskoczenie. Tragiczny list skłaniał mnie do wytworzenia sobie przed przyjazdem koszmarnej wizji tego miejsca. A tymczasem ogromny budynek, wzorowy porządek, piękne pomieszczenia. Świetlica z dwoma telewizorami (jeden, rzecz jasna, kolorowy), w pokojach tapczaniki, słowem całkiem „domowe" warunki.

Udało mi się dotrzeć do dwu dziewcząt spośród kilku autorek listu. Ustaliłam, że dziewczęta zatrudnione są w internackiej kuchni jako młodociane pracownice. Narzekały na brak fachowej nauczycielki zawodu, na to, że nie otrzymały zgody na spędzenie ferii w domach. U dyrektora **Zespołu Szkół Mechaniczno-Elektrycznych,** (kształcących także... kucharzy) po dokładnym wspólnym przestudiowaniu wszystkich możliwych dokumentów stwierdziłam, iż zarzuty dziewcząt są bezpodstawne. Mało tego, delikwentki pozwoliły sobie na wypaczenie wielu faktów. Później same sobie uświadomiły, że pretensje mogą mieć jedynie do przepisów je obowiązujących, a na te z kolei zgodziły się podpisując odpowiednie dokumenty.

Wydawałoby się, iż sprawa tu już powinna się zakończyć. Otóż nie. **Udało mi się bowiem odkryć szkołę, która służyć by mogła za przykład samodzielności, gospodarności i... umiejętności wykorzystywania wolnego czasu.** Fakty to tym bardziej zadziwiające, że Zespół Szkół Mechaniczno-Elektrycznych działa w mieście, będącym przecież w dość sporej odległości od centrum przemysłowo-kulturalnego. Mimo tego aż tutaj przyjeżdżają specjaliści z Bełchatowa i Kozienic, z Huty Katowice i innych wielkich obiektów, aby prosić o delegowanie uczniów do nich na praktyki. Zdarza się, iż sypią konkretnymi nazwiskami, proponują pracę absolwentom. Samą zaś szkołę traktują jako kooperanta, na którego zawsze można liczyć.

Nasi bohaterowie, a więc uczniowie i dyrekcja szkoły, nie proszą nikogo o wsparcie, nie szukają sobie opiekunów. Mają ambicję samodzielnie zapracowywać na swoje utrzymanie. Oprócz tego mogą się jeszcze pochwalić przekazywaniem milionowych wkładów do skarbu państwa. Zasługa to głównie warsztatów szkolnych, między innymi wspaniale wyposażonego w krajowe i importowane urządzenia warsztatu napraw samochodowych.

Nic dziwnego, że tak funkcjonującą szkołę stać na najwspanialszy sprzęt techniczny i tak zwane „zaplecze socjalno-bytowe". Nie piękne to określenie, ale jeśli dodać, że kryje się za nim rozbudowa szkoły (dodanie całego piętra liczącego osiem pomieszczeń), remont internatu i oddanie dwóch budynków dla nauczycieli szkoły, zaczyna ono nabierać konkretnego kolorytu.

Wszyscy moi informatorzy mówili zgodnie o zdecydowanie inspirującej roli dyrektora szkoły, **mgr inż. Janusza Ostrowskiego.** Jest to pan niebywale energiczny, nie znoszący spokoju i stagnacji. Po dwu latach starań o zgodę na wybudowanie chlewni mającej poprawić sytuację szkolnej stołówki, postanowił dać „pstryczka w nos" opieszalcom i tak zdopingował uczniów podkasaniem rękawów, że w ciągu dwóch tygodni stanęły mury pomieszczenia przewidzianego na 150 tuczników!

Biłgorajska młodzież ma już zaszczepiony bakcyl społecznego działania. Mówiono mi o trzydziestu ochotnikach, którzy w środku lata przyjechali pomagać przy remoncie internatu. Lubią bardzo to miejsce może właśnie dlatego, że widzą na każdym kroku swoją własną pracę. Dość często zdarza się tu wykonywanie prac dyplomowych, w których wiedza zdobyta w ciągu kilku lat nauki służy tym, co jeszcze zostają w szkole. Kilku chłopców na przykład sporządziło dokładną dokumentację instalacji elektrycznej internatu. Praca, za którą trzeba by zapłacić sprowadzonym zawodowcom, a którą mogli z pożytkiem dla siebie i kolegów wykonać młodzi, prawie już – fachowcy.

Przykładów takich można jeszcze podawać mnóstwo. Powiem więc tylko, że ZSME ma już w dorobku kilka patentów i może się pochwalić sporą grupą olimpijczyków. Sami są inicjatorami ogólnopolskiej olimpiady samochodowej, która ma po raz pierwszy odbyć się już w tym roku.

A jak wypoczywają? Informację na ten temat uzyskałam dopiero tuż przed wyjazdem i prawie niechcący poruszono ten temat. Otóż biłgorajska szkoła od kilku lat wyprawia się na rajdy motocyklowo-samochodowe na Węgry, do Czechosłowacji i wokół Polski. Co prawda uzyskanie zezwolenia na te wyjazdy również kosztowało dyrekcję niemało zachodu, ale twierdzą – „warto było". Mają swoich 10 motocykli, kilka samochodów, które sami sobie, jak mówią, „zrobili". Zabierają ze sobą namioty, jedzenie, węgiel, kuchnię polową, słowem wszystko, co na kilka tygodni potrzebne, i w świat! Koszty tych wycieczek są minimalne choćby dlatego, że dochód roczny uczniowskiej spółdzielni wynosi milion złotych! Szansę na taki wyjazd mają, rzecz jasna, najlepsi. A jeśli już się nań zasłużyło, można się nie martwić o finanse.

W ciągu roku szkolnego organizuje się wycieczki za miasto. Mają nawet odpowiednie miejsce – ośrodek pod Biłgorajem. Sami zbudowali most łączący brzegi przepływającej tam rzeki (mogą śmiało jeździć samochody) i kilka domków campingowych. Mówią, żartując, że już niedługo to chyba wezmą się za zbudowanie samolotu.

Dziękuję dziewczynom za ten alarmujący list, dzięki niemu poznałam bowiem wspaniałych ludzi tworzących coś, co nazywają „po prostu szkołą".

Swoją drogą – to do skarżących się dziewcząt – macie przecież własny samorząd szkolny, HSPS, słowem przyjaciół, na których możecie liczyć. Rozmawiałam z nimi. Oni czekają na was, na wasze problemy. Chcą je razem z wami rozwiązać. Nie mogą znać niepokojów każdego z 1500 uczniów!

MAGDALENA RULSKA

Każdy, kto kiedykolwiek odnosił do naprawy stylowy fotel lub uszkodzony stolik sprzed kilkudziesięciu lat wie dobrze, że znalezienie fachowca, który podejmie się remontu starych mebli, jest prawdziwą sztuką. Coraz rzadsze stają się zawody, gdzie pewność ręki idzie w parze z tym niezwykłym zmysłem, który sprawia, że produkt rzemieślniczy staje się przedmiotem sztuki. Zespół Szkół Rzemiosł Artystycznych w Jeleniej Górze kształci fachowców w rzadkich dziś specjalnościach stolarzy, tkaczy, hutników i zdobników szkła, przędzarzy. 960 uczniów znajdzie w przyszłości pracę między innymi w zakładach, które opiekują się szkołą: fabryce dywanów w Kowarach, hucie szkła „Julia" i Zakładach Tkackich w Mysłakowicach.

W okresie wakacyjnym uczniowie tradycyjnie już prezentują swe prace na wystawach, organizowanych w miastach województwa. Ostatnia wystawa urządzona została w Świeradowie Zdroju – w parku miejskim eksponowano 22 rzeźby wykonane w szkolnych warsztatach. (mz)

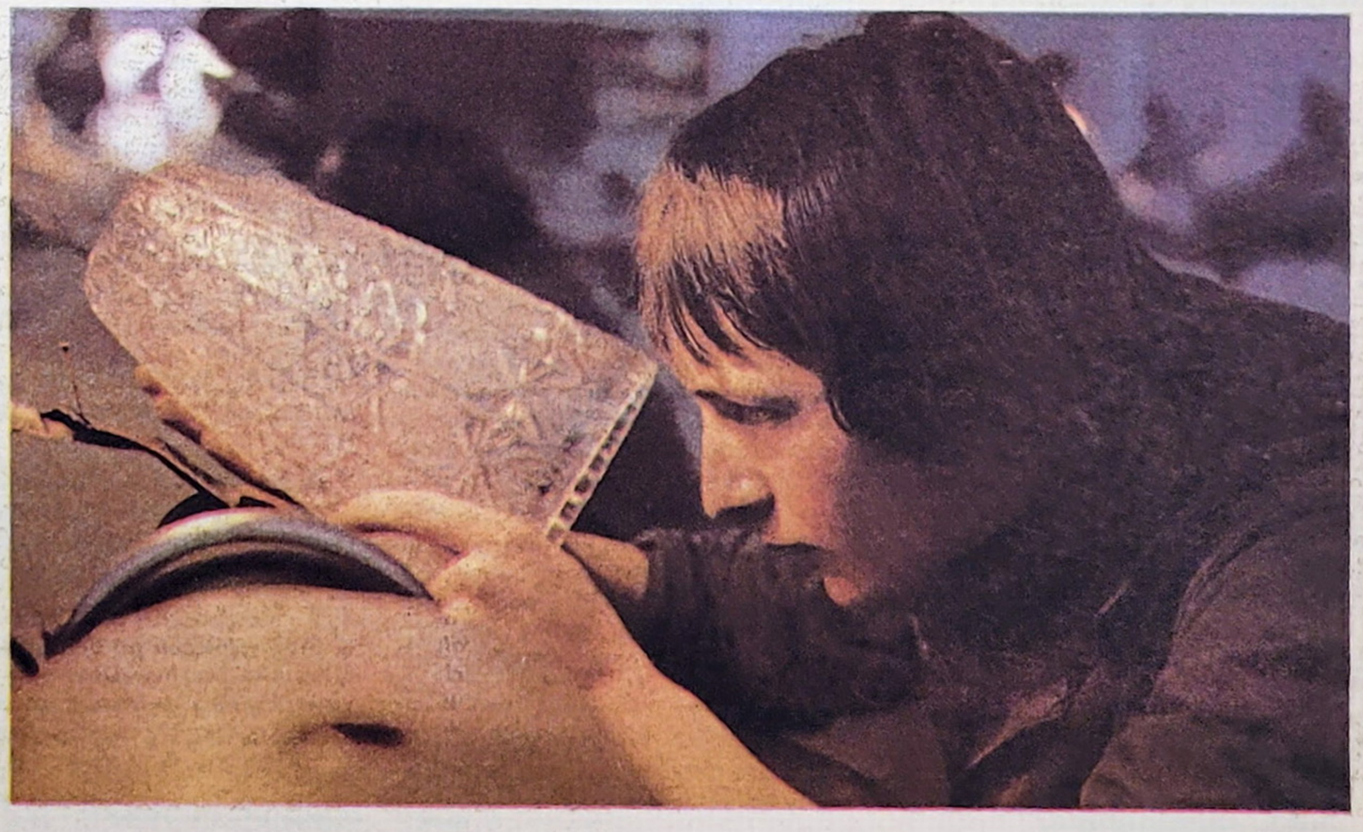

Fotografował

MAREK SZYMAŃSKI

ALBUM KIBICA

SZWECJA

KAŻDY SZWED PIŁKĘ KOPIE

Szwedzi kochają się w futbolu. Chłopcy i panowie w różnym wieku – po nauce i pracy – kopią piłkę na miejskim placu, boisku i wszędzie, gdzie tylko są warunki. Właśnie w tych powszechnie rozgrywanych „podwórkowych" turniejach narodziło się wielu klasowych zawodników, których piłkarskie walory wysoko ceni się w klubach Holandii, Szwajcarii, RFN, Belgii i Francji. To nie przesada, bowiem wielu szwedzkich piłkarzy ciągle emigruje za granicę. Wystarczy wspomnieć, że we Francji „królem strzelców" w latach 1952–1956 był Gunnar Andersson z Olympique Marsylia. Tam też grał słynny Roger Magnusson, a obecnie występuje nadzieja szwedzkiej reprezentacji – Anders Linderoth.

Szwedzi po raz pierwszy wystąpili w finałach MŚ w 1934 r., dochodząc do ćwierćfinału. W cztery lata później we Francji przegrali rywalizację o III miejsce z Brazylijczykami. W 1950 r. w Brazylii zdobyli medal brązowy, a w 1958 r. – srebrny, będąc gospodarzami mistrzostw. Startowali też w meksykańskich MŚ w 1970 r., ale bez powodzenia, a w 1974 r. w RFN swój start zakończyli w półfinałach, przegrywając m. in. z naszym zespołem 0:1. Te wyniki najlepiej świadczą o tym, że Szwecja ma wielu doskonałych piłkarzy, ale ciągła emigracja najlepszych zawodników i kłopoty ze zwolnieniem ich dla potrzeb reprezentacji, są poważną przeszkodą w przygotowaniu zespołu.

Kłopoty te uwidoczniły się już w czasie wstępnego tegorocznego obozu przygotowawczego kandydatów do zespołu na XI MŚ. Wśród 20 powołanych na ten obóz piłkarzy nie było ani jednego z grających w zagranicznych klubach. Jeśli dodać jeszcze, że mistrzostwa krajowe trwają do 10 maja, to można śmiało powiedzieć, że trener reprezentacji Szwecji, Georg Eriksson, ma niesłychanie trudne życie. Tak krótki okres na ostateczne przygotowanie zespołu może się okazać niewystarczający.

W tej sytuacji trudno jest przewidzieć, jaki będzie ostateczny skład reprezentacji tego kraju. Można jednak przewidywać, że znajdą się w niej dwaj bramkarze – Ronnie Hellstroem i Goeran Hagberg, a także obrońca i kapitan reprezentacji od 11 lat Bjoern Nordquist i wspomniany już Anders Linderoth, któremu Eriksson przydzieli zapewne rolę dyrygenta zespołu. Wielkie szanse mają też: Roland, Bjoern i Roy Anderssenowie, Hasse Borg, Eine Fredriksson, Thomas Sjoeberg, Benny Wendt, Ole Nordin i Sonny Aaslund.

W Argentynie grać będzie Szwecja w grupie III, razem z Brazylią, Hiszpanią i Austrią. W tej silnej i niezwykle wyrównanej grupie trudno będzie Szwedom zrealizować marzenia o złocie.

Fot. archiwum

Stoją (począwszy od czwartego) – Conny Torstensson, Benny Wendt, Bjoern Nordquist, Roland Andersson, Claus Johansson, Anders Linderoth, pierwszy z prawej szef reprezentacji Georg Eriksson; u dołu od lewej – Kent Karlsson, Magnus Andersson, Ronnie Hellstroem, Goeran Hagberg, Ralf Edstroem, Jorgen Auugustsson, Lenart Larsson, Eine Fredriksson, Bo Boerjesson.

GADY Z UNIWERSYTECKIEGO TERRARIUM

Fotoexpress APN specjalnie dla „Świata Młodych"

Jakie gatunki gadów żyją na terytorium republiki? Jaka jest ich rola w świecie przyrody? Jak zapewnić im jak najlepsze warunki dalszego bytowania? Aby odpowiedzieć na te pytania studenci wydziału zoologii na Uniwersytecie w Duszanbe (stolica Tadżykistanu) przeprowadzają wiele badań w uczelnianym terrarium. Zgromadzili już wiele okazów miejscowej fauny, i żyją one w znakomitej symbiozie ze swoimi krewniakami z innych stron świata.

Fot. **APN – TASS**

Rzadko już dziś spotykana żmija zwana „wilczym zębem"

Ulubienica studentów, jasnozielona iguana wraz z maleńką jaszczurką stepową

KUPON KONKURSOWY			
CZTERY NAJLEPSZE ZESPOŁY XI MISTRZOSTW ŚWIATA			
MISTRZ	WICEMISTRZ	III ZESPÓŁ	IV ZESPÓŁ

Nazwisko i imię . . . . . .

Dokładny adres . . . . . .

DNI KULTURY I SPORTU

Niby tak samo, a jednak inaczej

W sobotę, 13 maja br., w Szkole Podstawowej nr 7 w Mielcu odbyła się centralna inauguracja „Dni Kultury i Sportu". W poprzednich latach obchodzono równolegle „Tydzień Sportu Szkolnego" i „Tydzień Kultury Młodzieży Szkolnej". Od bieżącego roku szkolnego oba te „Tygodnie" połączono w jeden blok. I słusznie, bowiem sport i kultura fizyczna są ważnymi elementami ogólnej kultury społeczeństwa.

Tegoroczne „Dni" będą więc miały nieco odmienny charakter. Wszyscy uczniowie szkół podstawowych i ponadpodstawowych będą mieli możliwość wykazania się swoimi umiejętnościami i talentem oraz zaprezentowania tego, czego już dokonali, zarówno w sporcie jak i w działalności artystycznej, modelarskiej i innej. Również drużyny harcerskie i szkolne kluby sportowe będą miały okazję do zaprezentowania w środowisku swoich osiągnięć organizując wystawy i imprezy sportowe i artystyczne podsumowujące kończący się wraz z rokiem szkolnym II etap „Sztafety Olimpijskiej – Moskwa 80". Warto też przy tej okazji rozpocząć przygotowania do wykonania zadań III etapu „Sztafety", który będzie przebiegał pod hasłami: „Bijemy rekordy życiowe – zdobywamy klasy sportowe" oraz „Olimpijski start".

Na kwietniowym zebraniu Głównego Komitetu Organizacyjnego „Sztafety" zaprezentowało w niej swój udział Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. W ostatnich dwóch latach przed igrzyskami Towarzystwo będzie organizatorem licznych imprez prowadzonych pod hasłem „Kierunek – Olimpiada 1980". Będą więc organizowane w każdym województwie obozy młodzieżowe, konkursy plastyczne, turnieje o tematyce olimpijskiej oraz teleturniej pn. „Ruch olimpijski".

Najaktywniejsi uczestnicy i realizatorzy zadań „Sztafety" – uczniowie, młodzieżowi organizatorzy sportu i nauczyciele – będą mieli możność uczestniczenia w „Pociągu Przyjaźni", który wyjedzie na moskiewską olimpiadę. Warto więc już dziś ocenić osiągnięte wyniki „Sztafety" w szkole, drużynie harcerskiej, szkolnym klubie sportowym i zwiększyć wysiłki realizując zadania III etapu „Sztafety".

(rat)

Fot. **M. Zbikowski**

Pokaz gimnastyczny sycowskich dziewcząt

DO ZOBACZENIA!

– W niedzielę pojadę do dziadka, by obgadać całą sprawę – mówi Dorota. – Namioty wypożyczymy z domu kultury. Jeszcze muszę tylko spytać dyrektora PGR, czy będziemy mogły pracować, tak jak rok temu. Dziadek na pewno zgodzi się, żeby rozbić namioty w jego sadzie. Pobędziemy tam na biwaku ze dwa tygodnie. Pieniądze przydadzą się na obóz. Ostatni!

„Świtezianki" kończą 8 klasę. Postanowiły, że w ostatnie, wspólne wakacje będą jak najdłużej razem. Ewa, Dorota, Jola, Kasia, Krystyna i Renata – przez wszystkie klasy szkoły podstawowej tworzyły zgraną paczkę. Teraz wspominają te osiem lat, które minęły jak z bicza strzelił. Więc najpierw – szóstka zuchowa, już od I klasy. „Kubusie Puchatki" cieszyły się dużą popularnością nie tylko w szkole. Wspólne tańce, inscenizacje, występy. Tyle emocji, wydarzeń. Wciągnęło ich to życie. Nabrały śmiałości, obca im była trema. Jak trzeba było coś zrobić w klasie – zgłaszały się pierwsze. Nauczyciele wiedzieli, że na zuchy z ich szóstki można liczyć.

Kryzys nastąpił w piątej klasie. Dostały zastępową trzy lata od nich starszą. Na pierwszej zbiórce naobiecywała jak to fajnie będzie w zastępie. Roztoczyła wspaniałe wizje harcerskiego życia. Niestety, na wizjach się skończyło. Dziewczęta przyzwyczajone do działania zbuntowały się i wybrały Dorotę. Nie pomyliły się z wyborem. Dorota rzeczywiście potrafi prowadzić zastęp. Dzięki niej „Świtezianki" są najlepsze w całym szczepie. Dobre w realizacji starannie przygotowanych zadań, potrafią również działać błyskawicznie.

Przychodzimy do szkoły w pierwszy dzień wiosny – wspominają – a tu klasa wybiera się na wagary, wiadomo, że w wielu szkołach ten dzień to święto wagarowicza. Jedna klasa już zwiała, inne są prawie gotowe. Idziemy ze wszystkimi! Ale czy warto? Postanowiłyśmy zrobić co innego. Dorota pobiegła szybko do pani dyrektor z propozycją zorganizowania dnia samorządu.

– Możecie robić wszystko, byleby tylko nikt nie uciekał z lekcji – powiedziała dyrektor. Od tej chwili rolę dyrektorki pełniła Dorota, a Renata była jej zastępczynią. Ogłosiły apel dla nauczycieli. To oni śpiewali, mówili wierszyki. Bawili się świetnie, a z nimi wszyscy uczniowie. Znalazły się nagrody – cukierki dla najlepszych wykonawców. Lekcje też były na wesoło. Dorota wizytowała niektóre z nich.

„Świtezianki" coraz to zaskakują czymś całą szkołę. Tak było i z funduszem festiwalowym. Od rana rozchodził się po szkole dziwny zapach. Niektórzy pociągali nosami. Coś się smaży! Bomba pękła, gdy na korytarzu pojawiły się tace pełne chrupiących placków kartoflanych, a Krysia z Ewą ogłaszały:

– Kupujcie! Spróbujcie jakie są pyszne! Dzieci poniżej 7 lat bez kolejki. Zebrały wtedy 200 złotych.

„Świtezianki" mają dobre pomysły. Na IX TWO same uszyły łużyckie stroje ludowe. Na szkolnej wystawie ich stoisko było oblegane. Pomysły nie dotyczą tylko życia szkoły. Dziewczyny często robią wspólne wypady do lasu, niezależnie od pogody. Pewnej zimowej niedzieli pasażerowie autobusu ze zdziwieniem obserwowali, jak zasypane śniegiem dziewczyny brną przez pole z karmnikiem i pokarmem dla ptaków.

Ale najdłużej będą pamiętać letnie obozy. W Łukęcinie, nad morzem. Zawsze w jednym namiocie. Pierwsze do zabawy nawet w ulewie – jeszcze teraz przypomnienie rozmazanych deszczem farb na ciałach „Indianek" powoduje wybuch śmiechu. Pierwsze do nocnej warty. Chętne do pracy. Chociaż... Kiedyś, w piękny słoneczny dzień, gdy cały obóz pluskał się w morzu i opalał „Świtezianki" miały akurat dyżur w kuchni. Przypadło im obieranie ziemniaków. Pierwsza zacięła się w palec Dorota. Za nią po kolei kaleczyły się wszystkie. Mogły pójść na plażę! Innym razem, gdy zabrakło dla nich kolacji nie protestowały. Dorota wyprowadziła zastęp na plac apelowy i zaczęły bić pokłony do Allacha błagając o zesłanie kanapek. Kwatermistrz szybko zastąpił Allacha.

Można by tak długo wspominać. Obozy, akcje niewidzialnej ręki, zdobywanie sprawności. Ale lepiej pomyśleć o nadchodzących wakacjach. Więc najpierw biwak w Chruśniku połączony z pracą w PGR, a potem znów Łukęcin. Ostatni obóz. I rozstanie... Chociaż niezupełne. „Świtezianki" wybierają się do dwóch liceów. Są tam drużyny HSPS. A więc, do zobaczenia!

ANNA PACIOREK

REDAKCYJNA POCZTA

Jestem oburzona postępowaniem Wioletty

Chcę zabrać głos w sprawie listu Marty pt. „Co się liczy?" Opisane w nim postępowanie Wioletty oburzyło mnie. Jeśli obie były dobrymi koleżankami, to Wioletta nie powinna tak postępować. Moim zdaniem w życiu nie liczą się ciuchy, magnetofon, biżuteria itd., ale rozum, życzliwa postawa wobec ludzi... Myślę, że koleżanki Wioletty, które tak bardzo zabiegają o jej przyjaźń, zrozumieją to po pewnym czasie. Widocznie są naiwne, jeśli oceniając ludzi kierują się tylko kryterium ich zamożności. Taki stosunek do życia i bliźnich jest moim zdaniem naganny. Może i koleżanki Marty dojdą kiedyś do takiego wniosku.

Aśka

Chcę odzyskać wiarę w ludzi

Od lat znajduję się w niewesołej sytuacji. W dzieciństwie przebyłem chorobę Hainego-Medina. Mam za sobą liczne operacje, pobyty w szpitalach i sanatoriach. Całe to leczenie nie przyniosło jednak zasadniczej poprawy mojego zdrowia, ponieważ lewej nogi nie można było uratować. Chodzę teraz na ortopedycznej szynie i trochę kuleję. Mimo to uprawiam bieganie, gram w szachy i jestem raczej wysportowany. Od wielu lat próbowałem nawiązać kontakt z dziewczynami, bo chciałem pójść z kimś do kina, teatru czy na spacer. Niestety, moje wysiłki nie dały żadnych rezultatów. Ani jedna dziewczyna nie chciała zadawać się z kaleką. Stałem się więc nieśmiały, zakompleksiony i przygnębiony. Sporo czasu spędzam w domu i rozmyślam, czy mam jeszcze szansę znaleźć kogoś bliskiego, dzięki komu mógłbym odzyskać wiarę w ludzi, a także w siebie. Piszę więc ten list z iskierką nadziei, że może wśród czytelników „Redakcyjnej Poczty" znajdę kogoś, kto zechciałby nawiązać ze mną korespondencję.

Piotr Herman
ul. 1-go Maja 15/12
40-224 Katowice

Kto ma rację?

W 1976 r., bez wiedzy rodziców, założyłem sobie książeczkę PKO Wpłacałem na nią każdy zaoszczędzony i zarobiony grosz. W ubiegłym roku sprzedałem swój motorower, który miał wadę silnika i dopiero wtedy mama zainteresowała się, co zrobiłem z pieniędzmi. Pokazałem jej więc swoją książeczkę PKO. Od tego dnia mama przejęła nad nią kontrolę. Niedawno chciałem kupić sobie motorower „Romet", ale mama nie zgodziła się, abym podjął pieniądze. Myślę, że mam prawo do własnego zdania, skoro skończyłem już 18 lat. Jestem zrozpaczony, bo nie mogę zrealizować największego marzenia. Przecież nie chcę przepuścić zgromadzonych oszczędności na byle co! Kto więc ma rację – mama czy ja?

Krzysztof

OD REDAKCJI: Nie wydaje się nam, aby rodzice chcieli Cię ograniczać i odebrać Ci prawo do własnego zdania. Opisując swoje kłopoty nie powiedziałeś chyba wszystkiego na temat sprzedaży motoroweru. Czy rodzice wyrazili zgodę na taką transakcję? Z pewnością byłoby lepiej, gdybyś uzgodnił z nimi tę decyzję. Może spróbujesz jeszcze raz porozmawiać z mamą i przekonać ją – tym razem spokojnie – że na tym motorowerze szczególnie Ci zależy. Mamy nadzieję, że uzyskasz zgodę na zrealizowanie swojego marzenia. (ms)

PROPOZYCJE „SEKURY 78"

BEZPYŁOWO I KOLOROWO

Czy można handlować takim dobrem jak bezpieczeństwo człowieka? Można, a nawet trzeba, co udowodniła „Sekura 78" – wystawa pod hasłem „Ochrona człowieka w środowisku pracy", zorganizowana w Poznaniu przez Ministerstwo Pracy, Płac i Spraw Socjalnych.

Dla zapewnienia pracownikowi poczucia bezpieczeństwa i minimum komfortu trzeba rozwiązać wiele problemów. Do podejmowania niektórych zagadnień technicznych z tym związanych nasze technologie jakoś nie dorosły.

– „Klimawent" raczkuje już 25 lat, ciekawe jak długo będzie to jeszcze trwało? – spytała jedna z dziennikarek na konferencji prasowej.

– Nasze urządzenia wentylacyjne są wielkie, hałaśliwe, a na dodatek działają nieskutecznie – padł inny głos z sali. **Wiceminister, Henryk Białczyński**, odpowiedział, że „Klimawent" to najmłodsze zjednoczenie i liczy dopiero 8 lat. Korciło mnie jednak, żeby sprawdzić, jak to jest naprawdę z tym „Klimawentem".

fabrykę jak najszybciej uruchomić – mówi dyr. „Klimawentu", **inż. Jan Stopa.**

– Jakość urządzeń też nie jest zła. Tyle że to aparatura delikatna, wymagająca konserwacji. Jeśli nikt przez tydzień do niej nie zajrzy, przestaje spełniać wymogi. No ale ostatecznie i odkurzacz się „zbuntuje", jeśli nie opróżniać worka z kurzu... Często ludzie narzekają na wentylację i mają rację. Ale to nie nasza wina, że sprowadzono kiedyś z Indii 10 tys. klimatyzatorów bez części zamiennych, nie przeszkolono również do ich obsługi specjalistów. Zupełnie jakby ktoś, kto podjął decyzję o imporcie tych urządzeń, wyobrażał sobie, że można eksploatować telewizory bez ZURT – dodaje mój rozmówca. Ale przecież...

Pomysłowe i pewne zabezpieczenie przed upadkiem z wysokości, przeznaczone dla pracowników budownictwa zaprezentował poznański „ZREMB".

Pani Weronika Podgórna, autorka pionierskich prac z zakresu kolorystyki przemysłowej

Przed pawilonem dwa potężne urządzenia: fok-filtr pulsacyjny z lewej, obok wyższy, odpylający na mokro odpylacz przewałowy typu MB. Sięgają wysokości powyżej 1 piętra, przez drzwi by nie przeszły, więc stoją przed budynkiem w charakterze wizytówek. Nogi dopiero co pomalowano im niebieską farbą, o czym świadczą błękitne krople zastygłe na asfalcie. Czy te prototypy przywieziono tylko na pokaz? (Bywają wszak takie urządzenia, których przydatność ogranicza się do zdobienia pawilonów. Pewien wynalazca pokazywał mi tokarkę podróżującą z wystawy na wystawę). W tym przypadku okazało się, że i fok, i odpylacz przewałowy są produkowane seryjnie, a skuteczność odpylania przy ich użyciu sięga z górą 99%.

Zarzuty na konferencji skierowano pod niewłaściwym adresem. Rzeczywiście istniała taka spółdzielnia „Klimat", która przez 25 lat właściwie nic nie zrobiła w zakresie klimatyzacji.

– My w ciągu paru ostatnich lat potroiliśmy produkcję, chociaż nie mamy zakładu wytwarzającego wyłącznie tego typu urządzenia. Bardzo nam zależy, żeby taką

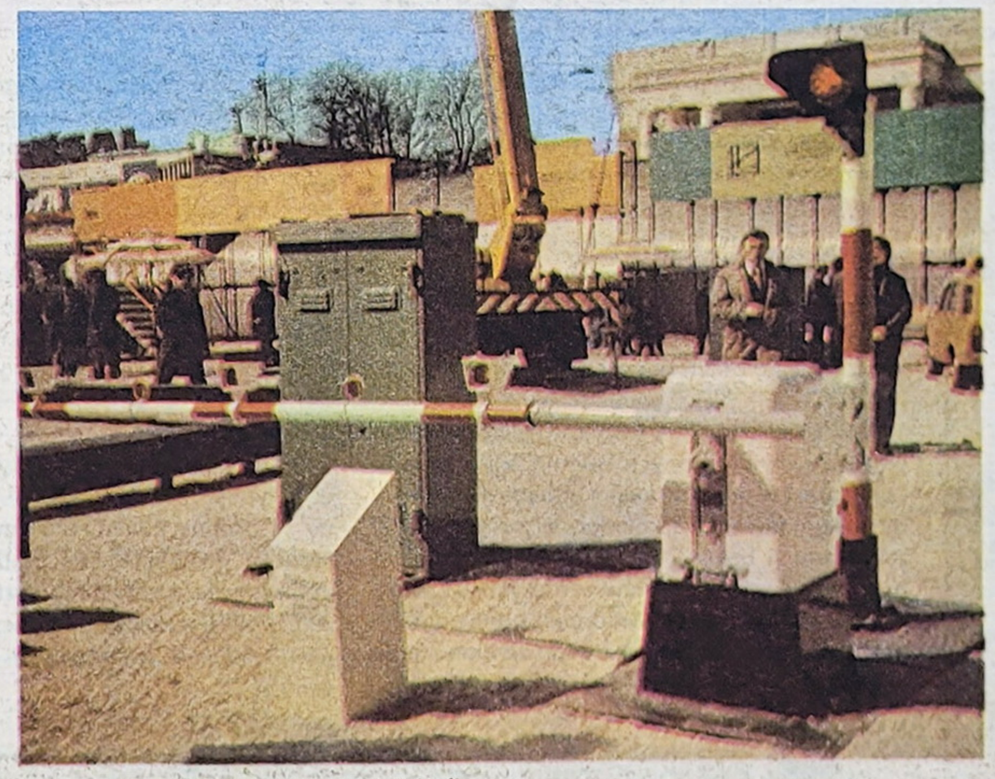

Automat sterujący rogatką zastąpi dróżnika...

...Nie samym powietrzem żyje człowiek – Kiedy pracowałam w dozorze budowlanym, widywałam zakłady, w których warunki pracy były dobre, a jednak wszechogarniająca szarość rzucała jakiś cień smutku na twarze pracowników – wspomina pani **Weronika Podgórna** z Płockiego Izokoru-Instalu, pionierka prac w zakresie kolorystyki przemysłowej.

Pani Wera nie przejmowała się zjadliwymi uwagami szefów produkcji w rodzaju – „co mi tu pani robi z huty cerkiew!" Wszak ludzie zatrudnieni w halach z wdzięcznością witali jej poczynania. Podpowiadali, gdzie zdarzają się wypadki, gdzie kolor musi ostrzegać przed niebezpieczeństwem. Pracownicy z Płockiej Petrochemii życzyli sobie żółtych barierek na kolumnach 60-metrowej wysokości. Po prostu czuli się bezpieczniej, mając do dyspozycji taką poręcz. Nawet jeśli silny wicher kołysał konstrukcją.

Barwy działają na podświadomość. Nie bez racji czerwień jest kolorem ostrzegawczym. Żółty też zaostrza uwagę. Projektant musi zaznaczyć elementy ruchome maszyn, niżej położone belki trzeba obowiązkowo wymalować w żółto-czarne pasy, żeby pracownik nie uderzył się o nie głową. Żółto-czarne są też wózki, jeżdżące po halach. Dopiero jak się spełni wymogi norm bhp, pozostaje pole do plastycznej inwencji. A pole to bywa ogromne: taka np. hala Huty im. Bieruta ma długość 1600 metrów. Odbywają się w niej różne procesy technologiczne. Odcinek poświęcany każdemu z nich trzeba zaznaczyć innymi barwami. Uwzględnia się przy tym stopień zapylenia i temperaturę. Stworzyć z tylu elementów harmonijną całość, to nie lada sztuka! Tym bardziej, że nie ma i być nie może żadnych gotowych wzorów. Każda hala ma swój niepowtarzalny charakter. Projektant musi doskonale poznać technologię i wczuć się w sytuację ludzi, którzy w niej pracują.

Na wystawionej na targach planszy zwraca uwagę delikatny jasnozielony kolor ścian w Hucie im. Bieruta.

– Taki kolor ochładza wnętrze, pozwala odpocząć zmęczonym oczom. Huta nie musi przypominać piekła – stwierdza moja rozmówczyni.

W tej chwili pani Wera ma na warsztacie projekt kolorystyki Zakładów Papierniczych w Kwidzyniu i Elektrowni w Połańcu. Popołudniami zgłębia tajniki technologii, które będą stosowane w tych zakładach. Trzeba nie byle jakiej wyobraźni, żeby już teraz „zobaczyć" halę i ludzi przy maszynach. Artysta plastyk nie podołałby zadaniu. To jest raczej praca dla inżyniera z duszą artysty.

– Szkoda, że nie przywiązuje się wagi do spraw kolorystyki w starych zakładach. co jakiś czas rdza zaczyna żżerać metal, a farba odpada ze ścian: trzeba malować. W praktyce decyzja wygląda tak: jaką mamy farbę w magazynie? Szarą? No to jazda! A przecież wystarczyłoby pół procentu kosztów remontu przeznaczyć na zaprojektowanie kolorystyki. Nieprawda, że brak funduszy. Wydajemy je na broszurki, których często nawet behapowcy nie czytają. Tymczasem barwa, kolorowy znak ostrzegawczy odgrywają ważną rolę, ostrzegając przed niebezpieczeństwem. Nie mówiąc już o tym, że w ładnym wnętrzu wydajniej się pracuje. To są żywe złotówki! – wtrąca się pan Waldemar Jankowski z Instalu.

– Myślę, że estetyka zakładu mogłaby nawet zahamować tak niepokojące często zmiany miejsca pracy. Człowiek mógłby się po prostu przywiązać do pięknych maszyn w wesołej, kolorowej hali – kończy pani Wera Podgórna.

MARIA WRÓBLEWSKA
Fot. **autorki**

REPORTER Świata Młodych

SZYBKIEGO POWROTU DO ZDROWIA – CZYLI JAK ZROBIĆ Z IGŁY WIDŁY

Działo się to w czwartek. Dzień przed klasówką z biologii.

Godzina 14.00. Kryśka spotyka Ewę.

– Cześć, Ewka!

– Cześć!

– Widziałam starą od bioli, jak wychodziła z apteki. Może jest chora i nie przyjdzie jutro do szkoły?

Godzina 14.30. Ewa rozmawia z Hanką. – Wiesz, stara od bioli jest chora i nie będzie jutro klasówki. – To świetnie, bo ma być wielkie pytanie z historii.

Godzina 15.12. Hanka spotyka Grażynę.

– Cześć, Grażyna, nie zgadniesz, co się stało. Biologiczkę zabrało pogotowie i nie przyjdzie do szkoły. – No właśnie. Widziałam wczoraj, jak pogotowie jechało w stronę jej domu.

Godzina 15.54. Grażyna dzwoni do Ani. – Wiesz co się stało? Facetka od biologii leży ciężko chora w szpitalu. – Coś ty? Swoją drogą to jej szkoda, ale że klasówki nie będzie, to dobrze.

Godzina 16.15. Ania spotyka w sklepie Beatę.

– Cześć. Wiesz jaki numer? Biologiczka miała ciężką operację i leży w szpitalu.

– Co ty powiesz? Trzeba będzie zrobić składkę na kwiaty i iść ją odwiedzić.

Piątek 8.00. Pani od biologii wchodzi do klasy i lekko zakatarzonym głosem mówi:

– Proszę wyjąć karteczki. Aha! Nie wiecie może, gdzie można dostać krople na katar, bo wczoraj szukałam we wszystkich aptekach i nigdzie nie było.

ANETA DOBROSIELSKA
Harcerski Klub „Forum Pro"
Gdynia-Witomino
korespondencja pierwsza

GWIAZDOZBIÓR

Spotkanie z Daszą czyli IRINĄ AŁFIEROWĄ

Serial telewizyjny Wasilija Ordyńskiego „Droga przez mękę", nakręcony na podstawie słynnej powieści Aleksieja Tołstoja, oglądali widzowie prawie wszystkich krajów socjalistycznych. Wszędzie bardzo się podobał, a szczególną sympatię widzów zdobyły sobie dwie debiutantki w filmie – Irina Ałfierowa i Swietłana Pienkina jako siostry: Dasza i Katia. Praca nad filmową epopeją trwała 6 lat i, pomimo że młodziutkie artystki od tamtej pory nie stworzyły wielu nowych kreacji aktorskich; teatralnych i filmowych, nie można już o nich mówić, jako o niedoświadczonych aktorkach. Obie świetnie zdają sobie sprawę, że lata pracy nad serialem telewizyjnym miały znaczenie zupełnie wyjątkowe dla techniki gry, sposobu pracy nad rolą – dla rozwoju ich aktorskich osobowości. Przyniosły im korzyść, ale też i niebezpieczeństwa. Dlatego sądzę, że dla wszystkich naszych czytelników, interesujących się problemami aktorskimi, będzie ciekawe zapoznanie się z rozważaniami na temat nietypowego debiutu uroczej i sympatycznej Daszy, czyli Iriny Ałfierowej:

Książkę czytałam jeszcze w szkole, dawno temu. Dasza zawsze mi się podobała, ale wtedy nawet przez myśl mi nie przeszło, że to ja będę ją grała. I kiedy zaproponowano mi udział w próbnych zdjęciach – poczułam strach. Zresztą miałam zupełnie inne plany. Kończyłam szkołę teatralną, grałam w dyplomowym przedstawieniu Lizę w „Dzieciach słońca" Gorkiego i opętana wprost byłam marzeniem o teatrze. Miałam już teatralne propozycje ze „Współczesnego". Udział w „Drodze przez mękę" równał się pożegnaniu z teatrem. A z drugiej strony, wyrzec się takiej roli jak Dasza... nie, to nie było możliwe.

Pierwsze dni zdjęć były dla mnie straszne. Ordyński stawiał mnie przed kamerą: „Zaczynaj". A ja nie mogłam wykrztusić słowa. „Mów! Jesteś Daszą! Masz taki sam charakter!" – żądał, a ja jęczałam niestety, nie jak Dasza, a wciąż jako Irina Ałfierowa. Męczyliśmy się nawzajem okropnie.

Zaczęłam czytać książki na temat tamtych czasów, chodziłam po muzeach. Kręciliśmy wówczas w Leningradzie. Po tych samych ulicach co ja teraz, chodziła kiedyś Dasza. Zastanawiałam się: „Co ona mogła myśleć wówczas chodząc po tym samym mieście?" Czytałam to co ona – wiersze Błoka, Puszkina, który był jej szczególnie drogi. Miała dobry smak literacki. I tak stopniowo coś się w mojej duszy zmieniało, zbliżała się pora „przestrojenia".

Teraz, kiedy film jest już gotów, mogę powiedzieć, że lubię Daszę inaczej niż na początku. Teraz lubię ją nie tylko sercem, ale też doskonale ją rozumiem. Chciałabym, aby wszyscy ją polubili. Współczesnej młodzieży potrzebne jest spotkanie z takim człowiekiem jak Daria. Ona z każdej przeciwności losu wychodziła mocniejsza, wciąż duchowo się rozwijała, wzbogacała i dzięki temu umiała wybrać właściwą drogę życiową.

Ta rola była dla mnie trudnym zadaniem. Na ekranie nie da się niczego ukryć, każdy fałsz nawet najmniejszy jest widoczny. Byłam przygotowana w szkole do zadań teatralnych a film to całkiem co innego. Dlatego ta rola wiele mnie nauczyła. Dużo też dała mi jako człowiekowi. Los Daszy pozwolił mi dostrzec i jej, i moje omyłki. Nauczyłam się być tolerancyjna, rozumieć innych, żegnać się i rozstawać... Być człowiekiem pomiędzy ludźmi.

Znów jestem w teatrze, w Moskwie. Trudno mi teraz zaczynać od nowa. Tam, gdzie moim kolegom wystarcza technika – ja wyciskam z siebie „krwawy pot". Ale muszę uwierzyć w siebie jako w aktorkę teatralną. Nie znaczy to, że rezygnuję z kina. Niedawno zagrałam w białoruskim filmie „Czarna brzoza" – dziewczynę z partyzantki, która traci ukochanego. Myślę, że to była dobra rola. Wiem, czego chcę. Będę zajmować się tylko najbardziej interesującymi propozycjami filmowymi. Bardzo chciałabym np. zagrać dziewczynę współczesną. Dużo myślałam o tym, jaka ona powinna być. Chciałabym, aby ta moja bohaterka, nie okazała się zakompleksioną, wyobcowaną istotą – jak to bywa ostatnio często w naszych sztukach i filmach. Moim zdaniem powinna przedstawiać człowieka mocnego, aby podobnie jak Dasza, mogła pomóc innym w rozstrzyganiu ich życiowych wątpliwości.

Opracowała EWA BIELSKA
Fot. **archiwum**

DOM MODY światła młodych

I JESZCZE RAZ NA... LUDOWO

Niewykluczone, że zaczynam być nudna, bo na ten temat zdarzyło mi się już kilka razy pisać – i to wcale nie tak znowu dawno – ale ten nurt w modzie jest tak pełen wdzięku, że czuję się ze swej winy rozgrzeszona. Nie tylko zresztą we wdzięku i urodzie rzecz cała, ciuszki oparte na elementach strojów ludowych (tzw. styl „folk") są w gruncie rzeczy ogromnie łatwe do skompletowania i niezbyt kosztowne. Dlatego też tak bardzo Was do nich namawiam – i na co dzień, i na od święta. Szczególnie to ostatnie (na „od święta") jest aktualnie ważne – zbliża się okres popularnych wiosennych imienin, a wraz z nimi i prywatek, w wielu szkołach odbędą się zabawy na pożegnanie roku szkolnego. W związku z tymi zabawami (i balami też, a jakże!) otrzymałam ostatnio kilkadziesiąt listów, w których ich autorki proszą o „coś" na tę okoliczność odpowiedniego. Wydaje mi się, że taką odpowiednią rzeczą będzie właśnie coś w stylu „folk", na ludowo.

Przepisu szczegółowego na kompletną indywidualną kreację dać oczywiście nie mogę. Efekt końcowy zależeć przecież będzie i od indywidualnych upodobań, i od tego, co już posiadacie w szafie, i od fantazji każdej z Was. Fantazja jest ogromnie ważna. Jak zresztą we wszystkim, co dotyczy ciuchów – prawdą starą jest to, że można być kiepsko i brzydko ubraną mając na sobie strojów za kilka tysięcy złotych i że z kolei można wyglądać absolutnie szałowo kosztem dosłownie paru groszy. Paru groszy plus fantazja właśnie.

A tworzywem uruchamiającym tę fantazję będą w tym momencie rzeczy bardzo proste. Kretony w drobne kwiatuszki, kawałki bawełnianej koronki, pasmanteryjne „ząbki", całkiem zwyczajne białe bluzki. Zapraszam do obejrzenia zdjęć! Mam nadzieję, że zainspirują Was one do paru własnych, oryginalnych pomysłów. Powodzenia!

RIUSZKA

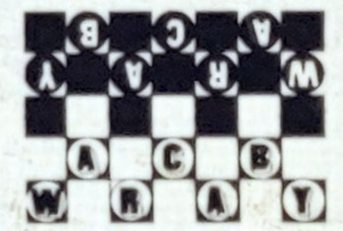

TURNIEJ WARCABOWY

O PUCHAR „ŚWIATA MŁODYCH" I GŁÓWNEJ KWATERY ZHP

Prowadzi Romuald Frey

Zadanie 25. Białe zaczynają i w siódmym posunięciu wygrywają. Za prawidłowe rozwiązanie 3 punkty.

Zadanie 26. Białe zaczynają, przeprowadzają klasyczną kombinację i w czwartym posunięciu wygrywają zbijając wszystkie kamienie przeciwnika.

Rozwiązania należy przesyłać na adres redakcji w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru. Wśród uczestników, którzy nadeślą prawidłowe rozwiązania rozlosujemy dwie nagrody książkowe.

Zadanie 25

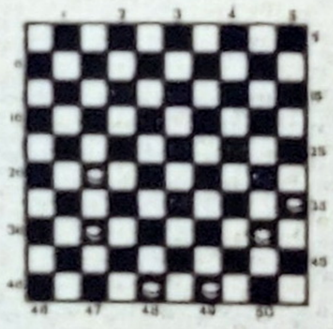

Zadanie 26

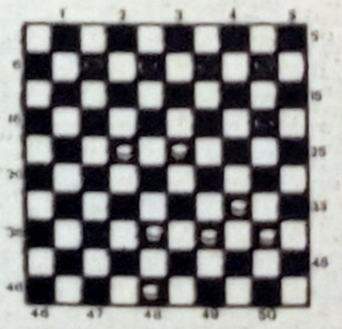

ROZWIĄZANIE ZADAŃ

Zadanie 9. 1. 35–30!! 25:43 2. 32–27!! 22:31:42:33 3. 49:38:29:20:9:18:29.

Zadanie 10. 1. 47–41! 36:47 2. 28–22! 47:27 3. 32:21:12:3:14:5.

Zadanie 11. 1. 35–30! 34:25 2. 27–22! 18:40 3. 45:34:23:14:3:12:21.

Zadanie 12. 1. 47–41! 36:38 2. 37–32! 22:31 3. 32:37 i opozycja.

Za prawidłowe rozwiązanie zadań od 9 do 12 nagrody książkowe wylosowali: Mirosław Borowicz – Połczyn Zdrój, Piotr Kołaziński – Żmigród, Janusz Borowski – Objezierze i Zofia Nastróżna – Jeżewo. Nagrody wyślemy pocztą po zakończeniu turnieju.

ZASADNICZA
SZKOŁA
BUDOWLANA
i Technikum
Budowlane
dla
Pracujących
w Jaworznie

CHRZANOWSKIEGO
PRZEDSIĘBIORSTWA
BUDOWLANEGO

przyjmują zapisy absolwentów szkół podstawowych na rok szkolny 1978/79 do klas pierwszych

ZASADNICZEJ
SZKOŁY
BUDOWLANEJ
PRZYZAKŁADOWEJ

Szkoła uczy następujących zawodów:
2-letni okres nauczania:
- murarz-tynkarz
- malarz budowlany
- posadzkarz
- prefabrykacja elementów budowlanych

3-letni okres nauczania:
- mechanik maszyn budowlanych
- ślusarz-spawacz

Uczniom zamiejscowym zapewnia się całodzienne wyżywienie i zakwaterowanie w internacie. Na kierunek malarz budowlany przyjmowane są również dziewczęta (bez możliwości zakwaterowania w internacie).
Uczniom zapewnia się dobre warunki socjalno-bytowe.
Po ukończeniu Zasadniczej Szkoły Budowlanej absolwenci mają prawo kontynuowania nauki w 3-letnim Wieczorowym Technikum Budowlanym dla Pracujących w Jaworznie.
Kandydaci winni niezwłocznie złożyć lub przesłać listownie następujące dokumenty:
- podanie
- odpis skrócony aktu urodzenia
- świadectwo zdrowia stwierdzające zdolność wykonywania zawodu
- trzy fotografie
- świadectwo ukończenia szkoły podstawowej (dołączyć w miesiącu czerwcu bezpośrednio po zakończeniu nauki).

Adres szkoły: ZASADNICZA SZKOŁA BUDOWLANA CHRZANOWSKIEGO PRZEDSIĘBIORSTWA BUDOWLANEGO
ul. Szopena 40, 32-510 Jaworzno, tel. 35-81.

K-102

Po krótkiej przerwie wracamy do problemów związanych z poszukiwaniami ewentualnych pozaziemskich cywilizacji. Temat ten nadal dominuje w Waszych korespondencjach, przy czym coraz częściej niektórzy – na poparcie tezy, że ONI istnieją – przytaczają opisy wizyt składanych jakoby na Ziemi przez latające spodki. Tej ostatniej sprawie poświęcimy w najbliższym czasie więcej miejsca.

Prezes TOMIKA
ST. BOROWIECKI

W poszukiwaniu istot rozumnych – ZAGADKA LATAJĄCYCH TALERZY

Czy jest do pomyślenia, że my obywatele XX wieku jesteśmy jedynymi żyjącymi istotami w kosmosie? – zapytał na wstępie jednej ze swych książek Erich von Daeniken i było to pytanie retoryczne. Daeniken przytacza karkołomne wyliczenia astronomów, iż w samej tylko Drodze Mlecznej, Galaktyce, której cząstkę stanowi nasza Ziemia, prawdopodobnie jest życie. Na bez mała dwudziestu tysiącach światów istniałaby możliwość spotkania się oko w oko z istotami o przynajmniej takim stopniu rozwoju jak ziemianie.

Przed paru laty na sympozjum naukowym w Bostonie starano się wyjaśnić zagadkę latających talerzy. Rozwiązania tej zagadki nie znaleziono. Uczeni wyrażali pogląd, że badanie zjawiska latających talerzy może przynieść, albo odkrycie i wyjaśnienie nowych zjawisk fizyczno-astronomicznych, albo znaleźć nowe nie znane dotychczas fakty w dziedzinie zjawisk psychicznych i socjologicznych. Jednak istnieje dotąd pogląd, że latające talerze to statki kosmiczne istot z innych planet. Pogląd ten powstał w wyniku błędnego rozumowania. Gdyby ktoś usiłował nas przekonać o słuszności dowodzenia:

1. żyrafy mają długie szyje,
2. bociany mają długie nogi, zatem
3. bociany są żyrafami

to odpowiedzielibyśmy mu, że nie zna podstawowych zasad logiki. A jednak wspomniany pogląd na naturę latających talerzy powstał w wyniku dowodzenia: 1. statki kosmiczne (hipotetycznych) cywilizacji pozaziemskich są niezwykłe, 2) latające talerze są niezwykłe, zatem 3) latające talerze są statkami kosmicznymi cywilizacji pozaziemskich.

Allen Hynek uważa, że badania latających talerzy mogą przynieść bardzo istotne odkrycia dla fizyki (oczywiście hipoteza statków kosmicznych też nie może być wykluczona). Doniesienia o domniemanych istotach z innych światów są tak stare jak ludzkość. Może więc latające talerze i domniemani ludzie z innych światów istnieją głównie w naszej wyobraźni, dzięki temu, że człowiek od początku swego istnienia tęskni za czymś niezwykłym, za władcą silnym i wszechmocnym, który jednym skinieniem potrafi rozwiązać trudne problemy codzienności.

Na zakończenie przytoczę zdanie wypowiedziane na wspomnianym sympozjum w Bostonie przez znanego astronoma, Carla Sagana, który zajmuje się problemami życia we wszechświecie. Stwierdził on: *„... uważam, że poszukiwanie inteligencji pozaziemskich ma niezwykłe znaczenie dla ludzkości; trudno w ogóle znaleźć ważniejsze zadanie dla nauki; nie sądzę jednak, by najbardziej odpowiedzialną metodą badania tego zagadnienia było studiowanie Niezidentyfikowanych Obiektów Latających..."*

Przyszłość pokaże, czy jest to opinia prawdziwa.

Izabela Szczerbata
ul. Jaworska 2 m 6
59-420 Bolków

NADISTOTY WIŚNIEWSKIEGO

W swoim liście chcę przedstawić teorię Adama Wiśniewskiego-Snegra, zawartą w jego książce pt. „Robot". Zakłada ona, iż na Ziemi istnieją „nadistoty", jako organizmy stojące na znacznie wyższym stopniu rozwoju niż my. Autor tej hipotezy wychodzi z założenia, że formy życia na naszej planecie układają się jakby w kolejne stopnie.

- „Stopień zerowy, najniższy – generacja chemiczna, należą do niej wszystkie związki nieorganiczne (świat minerałów).
- Stopień pierwszy – to generacja botaniczna, do której zalicza się świat roślin.
- Stopień drugi – generacja zoologiczna; obejmuje świat zwierząt oraz ciało ludzkie.
- Stopień trzeci – generacja psychologiczna – obejmuje umysły ludzkie".

Oprócz wymienionych generacji, Wiśniewski twierdzi, że jest jeszcze czwarta i piąta, względnie dalsze. Są one niewidzialne, określone jako właśnie te „nadistoty". Istnienie ich można poprzeć na zasadzie, która obowiązuje we wspomnianych już generacjach.

Otóż w hierarchii bytu, żadna istota, nie widzi i nie zdaje sobie sprawy z istnienia swej nadistoty. Tak na przykład trawa, gdyby nawet umiała myśleć, nie mogłaby stwierdzić istnienia krowy na łące, krowa z kolei w analogicznej sytuacji nie mogłaby stwierdzić istnienia umysłu ludzkiego. Dlatego też żaden człowiek nie uwierzy w nadistoty. Teoria Wiśniewskiego, zaliczana jest do czystych spekulacji myślowych.

Jerzy Kubrak
ul. Słowackiego 28/40
37-600 Lubaczów

Dźwiękowa pocztówka do mieszkańców kosmosu

W najbliższym czasie zostanie wystrzelona przez NASA automatyczna sonda międzyplanetarna „Voyager" (Podróżnik). Sonda będzie podążać w kierunku Jowisza, Saturna i Urana, a następnie wyruszy do gwiazdy Proxima Centaura, gdzie dotrze za 100 000 lat. Na pokładzie sondy znajdować się będzie aparatura badawcza i łącznościowa, a także „dźwiękowa pocztówka" przeznaczona dla mieszkańców kosmosu. Na „pocztówce" znajduje się półtoragodzinne nagranie muzyczne („Zaczarowany flet" Mozarta, kwartet smyczkowy i pierwsze takty V Symfonii Beethovena, muzyka Bacha i Strawińskiego, jazz Duke Elingtona i ludowa muzyka różnych narodów). Oprócz tego znajdują się tam odgłosy trzęsienia ziemi, wiatru, deszczu, kroków człowieka, odgłosy samochodów, pociągów, samolotów i dźwięki wydawane przez 20 gatunków zwierząt. Jeżeli sonda dotrze do kosmitów, pozdrowi ich w 60 językach. Sposobem elektronicznym zarejestrowano 116 fotografii (np. widoki powierzchni Wenus, wspinaczka wysokogórska). „Pocztówka" ma 30 cm średnicy i jest płytą miedzianą, która przy 16,5 obrotach na minutę będzie przekazywać dźwięk i obraz przez 2 godziny. Dołączona jest do niej igła i głowica krystaliczna. Rozszyfrowanie kodu wymaga kwalifikacji inżyniera elektronika. Autorem pomysłu jest astronom Carl Sagan. Może tym razem zostanie nawiązana łączność z mieszkańcami kosmosu, ale czy nie nastąpi to zbyt późno?

Ewa Milczarek
ul. Kossaka 21 m 51
93-209 Łódź

Poczta ZSRR wydała w ub. roku kolejną, kosmiczną serię znaczków upamiętniającą 20 rocznicę wystrzelenia pierwszego sputnika. Napis na bloku: „Kosmonautyka w służbie gospodarki narodowej ZSRR". Znaczek pierwszy z lewej przedstawia Jurija Gagarina, pierwszego kosmonautę świata. Na drugim widzimy pierwsze wyjście ze statku macierzystego w otwartą przestrzeń kosmiczną. Znaczek trzeci, to orbitalna stacja typu Salut. Na kolejnych trzech znaczkach upamiętniono: badania okołoziemskiej przestrzeni, sondy międzyplanetarne i międzynarodową współpracę w kosmosie.

my wczoraj dokładne rozpoznanie i wiemy, że nie mają kart wędkarskich.

– To nie wasza sprawa – stwierdziła „Wszędobylska Hanna".

– A gdzie reszta piratów? Dlaczego ciebie wysłali na pertraktacje z nami? – zapytałem.

– Bo ja jestem najbardziej wygadany – odrzekł chłopak.

I po chwili z krzaków wylazło jeszcze dwóch. Najstarszy miał chyba dziewiętnaście lat, drugi był w wieku piegusa też zapewne piętnasto- lub szesnastolatek.

– Skąd jesteście? – zwróciłem się do nich.

– Z Iławy. A Łódź nie jest nasza, tylko pożyczona od ojca kolegi – pospieszył z wyjaśnieniem piegus.

– Który z was ma uprawnienia do prowadzenia jachtu?

– Ja! – wykrzyknął najstarszy i czmychnął zaraz w krzaki, jakby obawiając się, że mu zabiorę książeczkę żeglarską.

– Dajcie słowo honoru, że więcej nie wciągniecie Rogera na maszt – powiedziałem – a czarną flagę konfiskujemy.

– Za pozwoleniem – oburzyła się Hanna. – Coś mi się widzi, że zamierza pan oddać im łódkę i puścić ich wolno. Takie postępowanie wobec młodych ludzi uważam za niepedagogiczne. Słyszałam, że oni już od kilku dni buszują po jeziorze z tym Rogerem.

– To prawda – przyznał piegus. – Ale zawsze przeprowadzaliśmy rozpoznanie czy na brzegu siedzą kłusownicy. Jeśli to byli prawdziwi wędkarze, nie pływaliśmy im po spławikach. Owszem, omyłka mogła się zdarzyć. Ale to i pana wina – zwrócił się do męża „Wszędobylskiej Hanny" – że prawdziwy wędkarz łowił ryby razem z kłusownikami.

Chłopaki mieli dobre intencje, choć w ten sposób nie powinni byli postępować. Byłem przekonany, że zrobimy więcej szkody, jeśli zabierzemy im łódkę, niż gdy puścimy chłopaków wolno. I tak przecież dostali od nas nauczkę.

– Patrzcie go! – wrzasnęła „Wszędobylska Hanna". – Jeszcze będzie mojego męża pouczać! Już ja się wami zajmę, moi drodzy. Wy nie wiecie kto ja jestem. Pracuję w tygodniku „Szanuj zieleń".

Piegus tak się przestraszył, że na moment zniknął w krzakach. Dopiero z bezpiecznej odległości odważył się powiedzieć:

– My bardzo lubimy ten tygodnik. I czytamy go systematycznie.

Wyraz ogromnego zadowolenia rozlał się na twarzy dziennikarki.

– To dobrze, że czytacie ten tygodnik – powiedziała. – Nie najgorzej to o was świadczy. Przychylam się więc do zdania pana Samochodzika, aby was puścić wolno.

– Tak, tak. Słusznie – zawołali z naszego jachtu, Kika i Psycholog.

Tylko Pani Księżyc milczała, uśmiechając się pod nosem.

„Wszędobylska Hanna" jak zwykle postanowiła wykorzystać sytuację, aby zasięgnąć języka.

– Mówiliście, że jesteście tutejsi, z Iławy. A nie słyszeliście, że w tej okolicy mieszka jakiś ludowy malarz czy rzeźbiarz?

– Nie, proszę pani – odkrzyknęli chórem.

– A pałac w Karnitach znacie?

– Tak.

– A może wiecie, co to za ekipa kręci tam serial telewizyjny?

– Robią film? – ucieszyli się. – Nic o tym nie wiemy, proszę pani. Ale popłyniemy tam, żeby zobaczyć, jak się robi coś takiego. To fajna wiadomość.

– Nie musicie tam płynąć – wyprostowała się dumnie „Wszędobylska Hanna". – Wystarczy, że będziecie czytać tygodnik „Szanuj zieleń". Dowiecie się z niego wszystkich pożytecznych informacji. A co tyczy pana, panie Samochodzik – pióro jej wiosła groźnie skierowało się w moją pierś – Poznaję po pańskiej minie, że pan coś ukrywa przede mną. Jakąś zagadkę.

– Przebywam na urlopie w miłym towarzystwie – stwierdziłem.

– Pan nie należy do ludzi, którzy mają urlopy – oświadczyła z ogromną pewnością siebie. – „Złota rękawica", powiadacie?

Trzykrotnie stuknęła piórem wiosła w dno swej łódki.

Cdn.

ŚWIAT MŁODYCH

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa; ADRES ODDZIAŁU: ul. 3 Maja 7, 40-096 Katowice (tel. 599-230, telex 0315327).

UKAZUJE SIĘ WE WTORKI, CZWARTKI I SOBOTY

REDAGUJE KOLEGIUM: Stanisław Borowiecki (zastępca red. nacz.), Jerzy Dąbrowski, Anna Grzybowiecka, Maria Jaworska (sekretarz redakcji), Ewa Kłosiewicz, Jerzy Kowalkowski, JERZY MAJKA (redaktor naczelny), Wiesława Mroczek-Kamińska, Kazimierz Pasek, Krzysztof Potrzebnicki, Ryszard Ratajczyk, Mieczysław Teodorczyk, Barbara Tylicka, Marzena Wierzcholska (zastępca red. nacz.)

TELEFONY:
Red. naczelny 21-15-61
Sekr. redakcji 28-25-48
Dział Łączności z Czytelnikami 21-81-13
TELEX 81-36-58

Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA — RSW „Prasa-Książka-Ruch" Młodzieżowa Agencja Wydawnicza 00-564 Warszawa, ul. Koszykowa 6A Telefony: Dyrektor 28-09-73, Dział Wydawniczy 29-35-52. Prenumerata krajowa: miesięczna 19,50 zł, kwartalna 58,50 zł, półroczna 117 zł, roczna 234 zł. Od instytucji i szkół z miast wojewódzkich i gmin prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe oddziały i delegatury RSW „Prasa-Książka-Ruch" w terminie do 25 listopada na rok następny. Od instytucji, szkół, w miejscowościach, gdzie nie ma oddziałów i delegatur RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz od wszystkich prenumeratorów indywidualnych prenumeratę przyjmują wyłącznie miejscowe urzędy pocztowo-telekomunikacyjne oraz listonosze w terminie do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71 w terminach dla prenumeraty krajowej. Nr indeksu 35046

Opracowanie graficzne
Tadeusz Baranowski

Redakcja techniczna
Anna Dąbrowska

DRUK: Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa

Nr zam. 2526/G S-24

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY

Wśród etnografów miała opinię straszliwego łupieżcy. W jej mieszkaniu znajdowały się największe zbiory obrazów Ociepki, Centlewskiego, Katarzyny Gaweł, Gemry, rzeźby Janasa, Citaka, Pastwy, Czerwińskiego, Żeglińskiego, Orłowskiej i innych artystów ludowych. Ceny tych obrazów i rzeźb rosły wraz z modą na sztukę ludową. Dzięki swym zbiorom „Wszędobylska Hanna" posiadała ogromny majątek.

– A panią co sprowadza w tę okolicę? – zapytałem uprzejmie.

Lekceważącym gestem wskazała mężczyznę na rufie, który palił papierosa nie zdradzając zainteresowania niczym innym.

– Mój mąż lubi wędkować. A ja słyszałam, że nad tym jeziorem tworzy jakiś nie znany nikomu malarz i rzeźbiarz ludowy. Postanowiłam go odnaleźć.

– Czy ma pani na myśli autora „Złotej rękawicy"? – odezwał się Psycholog.

Mróz przebiegł mi po plecach. Tego tylko brakowało, żeby „Wszędobylska Hanna" wpadła na trop anonimowego poety. Dopiero zrobiłaby spustoszenie.

– „Złota rękawica", hę? – zmrużyła oczy – Nie słyszałam o czymś takim. Czy to obraz czy rzeźba?

– Wiersz – powiedziałem. – Utwór poetycki.

– Nie interesuje mnie poezja – wzruszyła ramionami. – Ale jeśli wiecie o jakimś rzeźbiarzu lub malarzu...

– Nie wiemy – pospieszyłem z odpowiedzią, obawiając się, że Psycholog powie za wiele.

Przez głowę przebiegło mi kilka pomysłów, które mogły dopomóc odsunąć tę babę z naszej drogi, ale wybrałem jeden – jak mi się wydawało – najbardziej chwytliwy.

– Nad jeziorem Drwęckim i w Karnitach, w tamtejszym pałacu – odezwałem się – kręcą zagraniczny serial telewizyjny z bardzo znanymi aktorami. Nikt o tym nie wie, bo całą sprawę trzymają w wielkiej tajemnicy. Myślę, że to powinno zainteresować tygodnik „Szanuj zieleń".

– Kręcą serial, hę? – zmarszczyła czoło „Wszędobylska Hanna" – I trzymają to w tajemnicy? Pan przecież wie, panie Samochodzik, że przede mną nic się nie ukryje. Zaraz tam wyruszamy. No i co, skończyłeś palić tego papierosa? – zwróciła się do męża.

– Owszem – odpowiedział melancholijnie.

– No, to trzeba nam w drogę – zdecydowała.

I przeszła na swoją łódkę, chwytając do ręki wielkie wiosło.

Tymczasem z krzaków na brzegu wylazł mały, chyba piętnastoletni piegowaty chłopak i błagalnie złożywszy ręce, wyjęczał:

– Zlitujcie się nad nami, drodzy państwo i nie zabierajcie nam naszej krypy. My już nigdy nie wciągniemy Rogera na maszt. To były tylko głupie żarty. A krypa nie jest nasza, tylko pożyczona od ojca kolegi. On dostanie straszliwe lanie, jeśli nie zwrócimy tej omegi.

„Wszędobylska Hanna" stuknęła w podłogę łódki piórem swego wiosła.

– Zaczynasz kwilić, chłopaczku? A podejdź no tu bliżej, już ja ci to wiosło przymierzę do pleców.

Chłopak był dość daleko od łódki, ale na wszelki wypadek przezornie cofnął się w krzaki.

– Niech pani nam daruje – prosił. – My już więcej tego nie zrobimy. Tam na pomoście siedzieli sami kłusownicy. Łowili bez kart wędkarskich, więc ich chcieliśmy wypłoszyć.

– A ja? – odezwał się mąż „Wszędobylskiej Hanny". – Posiadam kartę wędkarską, a mimo to przepłynęliście po moim spławiku.

– To się może zdarzyć – tłumaczył się chłopak. – Ale większość tych wędkarzy, co tam siedziało, to kłusownicy. Przeprowadziliś-

Dokończenie na str. 7